

Ryszard M. Machnikowski: Parapaństwa pod kontrolą Moskwy. Scenariusze rozwoju konfliktu z Ukrainą

Twardo realizując swoje plany geopolityczne, ekipa prezydenta Putina zaczęła więc ponosić koszty, które trudno jest dziś jej zlekceważyć. Jediną nagrodą jest Krym, oraz dwie „ludowe republiki”, które udało się oderwać od Ukrainy. Skórka nie wydaje się być warta wyprawki – pisze Ryszard M. Machnikowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Na Wschodzie bez zmian”

Jak miał powiedzieć Mark Twain: „historia się nie powtarza, lecz rymuje”. Gdyby tak rzeczywiście było, rosyjska agresja na Ukrainę przypominałaby sowiecką agresję na Afganistan, która o dekadę poprzedziła upadek systemu komunistycznego. Nie była to jednak czysta koincydencja, lecz jedna z bardzo wielu przyczyn tego upadku. W XXI wieku czas płynie jednak o wiele szybciej, zatem agresja na Ukrainę może wcześniej przyczynić się do upadku systemu putinowskiego w Rosji. Sowiecka interwencja w Afganistanie oparta była na fałszywych przesłankach strategicznych i przekonaniu o jej niskich potencjalnych kosztach, podobnie było w przypadku Ukrainy. Także początki obu tych interwencji były wielce zachęcające: Sowietci względnie szybko opanowali niemal cały Afganistan i umocnili tam swojego pomazańca; 35 lat później błyskawicznie i bez ofiar zajęli Krym, po czym przystąpili do „destabilizacji” wschodniej części Ukrainy, licząc na jej oderwanie w ramach projektu „Noworosja”. W latach 80. XX wieku uplasowana na Zachodzie sowiecka agentura

wpływu, wspierana przez tzw. „pożytecznych idiotów” dbała, by inwazja na Afganistan nie zaprzętała zbyt wiele uwagi zachodniej opinii publicznej i była przedstawiana jako wydarzenie nieznaczące. Wkrótce po zajęciu Krymu na Zachodzie również rozbrzmiał chór głosów wskazujących, że w zasadzie nic się nie stało, a Krym należy się Rosji jak psu miska. Mało kto zresztą wiedział, gdzie leży Afganistan, podobnie zresztą jak i Ukraina, i że są to odrębne państwa, a nie radzieckie republiki.

W obu przypadkach Kremlowi wydawało się, że wszystko jest pod kontrolą, a „światowa opinia publiczna” (wraz z „rynkami finansowymi”) nie będzie gwałtownie reagować na te mało istotne wydarzenia. Później jednak było już o wiele gorzej. Kolejne amerykańskie administracje, tak wtedy, jak i teraz, postanowiły wykorzystać militarne zaangażowanie Moskwy w obszarze „bliskiej zagranicy” do uderzenia w Rosję (wówczas sowiecką, dziś putinowską), a ludność zaatakowanych krajów stawiała zbrojny opór najeźdźcom. Nowe władze Ukrainy, po początkowym okresie chaosu i odwrotu, zdecydowały się na zbrojną reakcję przeciwko próbie rozbioru swego kraju, rozpoczynając „operację antyterrorystyczną” na wschodzie. O odbiciu Krymu włączonego do Rosji oczywiście mowy nie było, jednak Kijowowi trudno było zaakceptować utratę bez walki kolejnej części swego kraju, tak jak już wcześniej stało się to, za sprawą Rosji, w Mołdawii (Naddniestrze) oraz Gruzji (Abchazja). Rosja wytworzyła tam w pełni zależne i kontrolowane przez siebie „parapaństwa”, by destabilizować swoich sąsiadów i uniemożliwić im zbliżenie się do Zachodu. Podobnie było we wschodniej Ukrainie, gdzie po porzuceniu projektu „Noworosja” utworzono dwie „ludowe republiki” – doniecką i ługańską.

Sukcesy ukraińskiej „ofensywy” przeciw „separatystom” zmusiły Rosję do otwartej interwencji zbrojnej w tym kraju w obronie owych „ludowych republik”, z udziałem regularnych jednostek wojskowych i ciężkiego sprzętu, co trudno było już jednak ukryć. Konflikt określany początkowo mianem „hybrydowego” stał się kolejną otwartą agresją Rosji na słabego sąsiada. W dodatku załoga jednej z rosyjskich wyrzutni rakiet przeciwlotniczych BUK „omyłkowo” (celem był najprawdopodobniej ukraiński transportowiec) zestrzeliła malezyjski samolot pasażerski z międzynarodowym składem pasażerów (w tym 193 obywateli Holandii), co w dobie nie tylko satelitów szpiegowskich, ale i wszechobecnych smartfonów nie mogło umknąć uwadze światowych mediów. W tej sytuacji Niemcy i Francja nie mogły dłużej udawać, że nic wielkiego nie dzieje się na Wschodzie i przyłączyły się do amerykańskich sankcji, które stawały się z kwartału na kwartał coraz surowsze.

Zadziwiającym zbiegiem okoliczności, nałożyła się na to ostra walka cenowa na rynku paliw kopalnych, gdy Arabia Saudyjska poprzez obniżenie cen ropy starała się utrudnić życie firmom stawiającym na paliwa łąpkowe. Jak pamiętamy, w latach 80. XX wieku ceny ropy również spadły za sprawą Arabii Saudyjskiej (co miało być jakoby efektem spisku zawiązanego przez prezydenta Reagana z ówczesnym królem Saudów). Rosyjska „stacja benzynowa” ponownie zaczęła robić bokami. Aby nie dopuścić do gwałtownego kryzysu gospodarczego, władze Rosji zdecydowały się przejechać zapasy, zgromadzone w tłustych latach, gdy ceny paliw kopalnych szybowały w górę. Według informacji przekazanej przez rosyjskie ministerstwo finansów Fundusz Rezerw, który jeszcze na początku 2015 r. był wart ponad 5,5 biliona rubli, na początku 2018 roku stopniał niemal do zera i został zlikwidowany. Rosja dysponuje jeszcze Funduszem Dobrobytu

Narodowego (FNB, wart obecnie niespełna 4 bilionów rubli) oraz olbrzymimi rezerwami w złocie i walutach obcych, może zatem jeszcze przez pewien czas nie dopuszczać do wybuchu kryzysu gospodarczego subsydiując z tych środków własny budżet. Rosyjski resort finansów prognozuje, że na pokrycie deficytu budżetowego wydanych zostanie z FNB w bieżącym roku 586 mld rubli (czyli blisko 10,3 mld USD), używając środków, uznawanych dotąd za nienaruszalne, gdyż finansujących rosyjskie emerytury.

Twardo realizując swoje plany geopolityczne, ekipa prezydenta Putina zaczęła więc ponosić koszty, które trudno jest dziś jej zlekceważyć. Jediną nagrodą jest Krym, oraz dwie „ludowe republiki”, które udało się oderwać od Ukrainy. Skórka nie wydaje się być warta wyprawki.

Subsydiowanie ze zgromadzonych zapasów służy niedopuszczeniu do wybuchu głębokiego kryzysu gospodarczego, który mógłby przełożyć się na gwałtowne protesty rosyjskiego społeczeństwa. Pytanie, na jak długo starczy zgromadzonych środków i gdzie wyznaczono granicę tego autokanibalizmu pozostaje bez odpowiedzi, gdyż rzeczywista kondycja ekonomiczna Rosji, podobnie jak było z gospodarką ZSSR, jest chyba nieznana. Obecny rok jest rokiem wyborczym, należy zatem spodziewać się hojnego czerpania środków z nagromadzonych zapasów, by prezydent Putin mógł rządzić swą czwartą kadencję. Ekipa kremłowska zapewne rada byłaby ze zniesienia sankcji nałożonych na Rosję, nie jest jednak jeszcze gotowa zapłacić wystawionej za to ceny.

Poprzez eskalację konfliktu na Ukrainie Kreml może wykazywać bezradność Zachodu, co jednak nie przyczyni się do pożądanej „normalizacji” wzajemnych relacji. Sama „deeskalacja” konfliktu jest

zaś już dziś dalece niewystarczająca, by wrócić do czasów „business as usual”. W dodatku władze ukraińskie, widząc znaczne utwardzenie stanowiska USA wobec Rosji, zdecydowały się niedawno uchwalić ustawę o „deokupacji i reintegracji Donbasu”. Stwierdza się w niej otwarcie, że Ukraina padła ofiarą rosyjskiej agresji, oraz że Rosja okupuje tereny ukraińskie w obwodach ługańskim i donieckim przy pomocy zbrojnych ugrupowań. Koordynacją działań w tym regionie mają zająć się Połączony Sztab Sił Zbrojnych, a nie Służba Bezpieczeństwa Ukrainy w ramach „operacji antyterrorystycznej”. Ukraińskie siły zbrojne stały się w minionym okresie silniejsze, wkrótce mają zaś zostać dozbrojone w nowoczesną zachodnią broń. Ta, wg. określenia Andrzeja Wilka, „najlepsza armia, jaką miała Ukraina” nie może być już przez Rosję dłużej całkiem lekceważona.

Rosja ma zatem na Ukrainie ograniczoną liczbę opcji i żadna z nich nie jest idealna. Lekko „podkręcając” konflikt nie skłoni państw zachodnich do zniesienia sankcji. Także deeskalując go również nie uzyska zbyt wielu spodziewanych koncesji. Po prostu porzucić Donbasu i zezwolić na „reintegrację” nie może, gdyż stałoby to w sprzeczności z całym olbrzymim wysiłkiem propagandowym Moskwy, skierowanym zarówno na ludność lokalną, jak i własną. Ewentualna ucieczka do przodu w postaci „pełnowymiarowej” inwazji na Ukrainę grozi ryzykiem konfrontacji ze światem zachodnim, której Rosja nie przetrwa – nie dlatego, że Zachód jest silny lecz dlatego, że wciąż jest znacznie silniejszy niż Rosja. Można zatem spodziewać się, że sytuacja na wschodzie Ukrainy nie ulegnie znaczącej zmianie, walki będą to się nasilać, to słabnąć, nie przekroczą jednak pewnego poziomu. Co będzie dalej, przyniesie po prostu czas; należy zatem uzbroić się w cierpliwość.

Kluczowym pytaniem jest dziś, czy prezydentowi Putinowi uda się utrzymać u władzy do końca czwartej kadencji, za cenę wyprzedaży „rodowych sreber”, czyli przyszłych emerytur Rosjan i zapasów cennych kruszców? Czy może grupa trzymająca w Rosji władzę zdecyduje się zrzucić z sań swojego dotychczasowego lidera, by obarczając go pełną odpowiedzialnością zapoczątkować „reset” stosunków z Zachodem przy okazji tej zmiany u sterów władzy? Jeśli tak, to czy odbędzie się to metodą „na Jelcyna” czy raczej „na Roberta Mugabe”, a może w Rosji wybuchnie wcześniej „rosyjska wiosna”, która wyniesie do władzy lidera dotychczasowej rosyjskiej opozycji?

Kluczowe pytania, dotyczące dziś Rosji, to pytania o to kiedy i w jakich okolicznościach utraci władzę prezydent Putin. Sytuacja na wschodzie Ukrainy może się zasadniczo zmienić dopiero po zmianie rosyjskiego przywódcy – do możliwej „reintegracji Donbasu” przez ukraińskie siły zbrojne, lub w wyniku negocjacji może dojść wyłącznie w przypadku czasowego chaosu w Rosji zakończonego przejściem władzy przez nowego lidera. Choć prezydent Putin jest z pewnością wyjątkowym przywódcą, nie jest jednak osobą nieśmiertelną, zatem prędzej czy później do czegoś podobnego dojdzie.